Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. **No. 49.** **Leszno, dnia 9. Czerwca 1838.**



J. Mielcarzewicz rys.

Stara kamienica rynku poznańskiego, przeznaczona na rozebranie dla otwarcia nowéj ulicy, prowadzącéj z rynku do teatru.

Ułamek o architekturze.

Zwróćmy na chwilę uwagę na te nasze mnogie, pyszne, zaprzeszłowieczne budowle, codziennie walące się, a nie wspierane, albo wcale niszczone niebaczną ręką nabywców i właścicieli, a westchniem: bodaj wszędzie się rozciągała cześć rzeczy dawnych, nietylko kształtem swym, lecz i wspomnieniem i duchem kosztownych! Gromił Wiktor Hugo Francyą o brak uszanowania i ten wandalizm, którego ofiarą historyczne padają pamiątki; o to zaniedbywanie budowli starych, przez obojętność lub skępstwo; o rozbiory ich przez chciwość, lub o niezręczne przekształcenia i niesmaczne przeinaczenia. Wytykał on ten wandalizm, co wszystkie przebiega stany, wszelkie przejmuje szaty i smakuje w zniszczeniu: od stuletniego dębu, do pysznéj świątyni Boga: od nędznéj chaty kmiotka, do wyniosłéj turmy miejskiéj; wszystko na cześć prawdziwych miłośników rzeczy ojczystych zasługuje. Gdziekolwiek kraj zwiedzimy, wszędzie nas wieść dochodzi o tém, co było, co zniszczono, co rozebrano; zewsząd stare dęby ogrodów, zdają się błagające wyciągać ramiona, aby ich nie zaprzedano za sążniowe drzewo; budowle, aby im cegieł nie wydzierano z łona. Pierwsze jeszcze cienia, drugie jeszcze schronienia użyczać zdolne, zniknąć mają z powierzchni téj ziemi, którą zdobiły, któréj dziejów niememi były świadkami. Ledwie co uratować zdążono kruszwicką wieżę; ileż to innych gmachów się wali? Ileż to kościołów, co czasów Piotra Duńczyka *) pamiętają? ileż to późniejszych świątyń się rozpada? Któżby ich jednak nie przeniósł nad nowsze świątynie? któżby nie uczuł, że modlitwa gorętszą się staje wśród tych murów, gdzie tyle wieków korne schylało czoła. Gromią właściciela Ferneiu, że siedzibę Woltera w cukrownią przemienił: lecz my dopuszczamy się większego nieraz barbarzyństwa: bo czyliż straty, jakie poniesie historya, poezya, architektura i malarstwo, zgoła, piękna całość krainy, zdoła wynagrodzić zysk kilkudziesiąt tysięcy nadpsutych cegieł i nieforemnych kamieni? Ileż to całych pięknych budowli jeszcze w kraju pozostaje, które przechować można w pierwotnym kształcie? Wspomnę te, które nie dawno widziałem: n. p. pyszny lekko-kształtny kościół wraz z przyboczną kamienicą, naprzeciw tumu w Poznaniu; turmę w Szamotułach, wraz z poprzerabianą kamienicą; zamek Koźmina; zgorzały kościół w Borku; na gospodarskie budowle użyty zamek w Osiecznie; świetniejsze pamiątki zbąszyńskiego i gąsawskiego zamku; reszty kościoła aryańskiego w Murowanéj Goślinie; dwu-lub trzech-wieczne groby rycerskie w Ponicu; a wreszcie nie należyż nam święcie pamiętać o pogańskich jeszcze zabytkach? o murze gnieźnieńskim i o inowrocławskim kościele z mnogiemi rzeźbami bogów sławiańskich? Jakiż pałac nowoczesny wyrówna piękności Gołuchowa nad Prosną, w którym każda, że tak rzeknę z młodo-zmarłym wieszczem:

» Cegła patrzy przeszłości rdzawemi oczami. «

Któż nie przeniesie wieży gostyńskiego farnego kościoła, nad tyle innych kunsztownych budowli? któż obejrzy obojętnie stary kościół w Kościanie, kościółki w Krobi i Krzywiniu, a nawet wiosek pomniejszych, n. p. Dębowéj Łęki?

Ileż to pięknych kamienic po starych miastach nietylko w Poznaniu i Gnieźnie, nawet w Rawiczu i Wschowie? Przy ulicy, którą w Poznaniu z rynku do teatru otwierają, warto jeszcze obejrzeć starą kamienicę, przeznaczoną na rozebranie; kamienne wystawy pierwszego piętra i kształt okien, nawet wymiar cegieł, nadają jéj wartość nie małą w oczach miłośnika rzeczy dawnych.

Chcąc uratować jéj pamiątkę, nim zniknie nazawsze z przed oczu, załączamy widok jéj obecny. Wszakże już w tym rodzaju nowych nie zobaczym, gdyż wszystko, nawet ceglana miast fizyognomia, zmienia się bez powrotu: szanujmy więc tę sędziwą przeszłość. Lecz nie szukając przykładów po miastach, rzućmy okiem na wioski: jakżeż piękne były te chaty przed stuleciem, a nawet i półwiekiem stawiane: *) każda węższym bokiem zwrócona do gościńca, z małą wystawką pod dachem; na trzech słupach strojnie przyrządzonych spoczywał szczyt domu przewieszony. Słupy te drewnianym połączone łukiem, misterną ciesielską robotą, największą były domu ozdobą. Za niemi siadał kmiótek w czasie skwarnym lub niepogodnym, a oko jego spotykało tyle rodzin przed domami spoczywających. Wszedłszy do chaty, oknem wyjrzał jedném na podwórze, a drugiém do ogrodu. Dzisiaj w każdéj wiosce chaty wiejskie szerokim bokiem do ulicy stawione, pozbawione wystawek, są tylko taniém schronieniem robotników: a jednak zaciąg ustał, chłopek większéj używa swobody, a niema w niedzielę gdzie usiąść przed domem. Maszli on szu-

*) Piotr Dön, od którego familia Duninów i Dönhofów pochodzi, wybudował kaplicę na górze Sobotce, (Zopten) świętéj Elżbiety w Wrocławiu, tudzież kilka w W. Polsce. Uw. autora.

*) Chat tych najwięcéj widziałem w okolicach drzewnych, szczególnéj w okół Jarocina. Wieś Głuchów, nad kościanskim gościńcem, w tym rodzaju jest stawiana; belka wystawki jednego z tych domów, nosi napis 1782. Widziałem wprawdzie w innych miejscach niektóre naśladowania dawniejszego ciesielskiego dłuta, w pierwszych latach naszego wieku wykonywane; atoli wszystkie się zdradzały niejaką ociężałością. Miłośnikom zabytków tego rodzaju, zalecam jeszcze śpichlerze w Miechlinie pod Szremem, który dotąd kształt pierwotny, przed 98 laty mu nadany, zachował. Życzyłbym, aby znalazł się jeden pomiędzy nimi, coby zechciał zbierać widoki i rysy tych budowli, znikających nam coraz więcéj z przed oczu, a jednak pewne zajmujących miejsce w dziejach rozwinięcia ojczystych sztuk pięknych.
Uwaga autora.

Tego rodzaju wiejskiego budownictwa znajdziesz dość liczne zabytki w powiecie odolanowskim.
Uwaga redakcyi.

kać w głębi ogródka chłodnika sterczącego wśród zagonów marchwi i kapusty, i czekać nim ligustum obrośnie. Nie, niechaj raczéj wiejskiéj się przygląda zabawie i cieszy wesołemi wyskoki dziatek i ścigających się chłopców, lub za kręgiem uganiającéj się czeredy. Tenże sam rodzaj wystawek widzimy po miastach murowanych i drewnianych: mieli tam kupczyki skład bezpieczny, przechodnie wygodne i suche chodniki: lecz dziś natomiast wszędzie je zabudować usiłują. Pókąd można podpierajmy i szanujmy te dawne budowle, a gdy przyjdzie nowe wystawić, szukajmy między spółczesnemi najpiękniejszych wzorów. Szwajcarskie chaty i angielskie folwarki (Cottages) w nieprzebranéj rozmaitości naśladować możem: kilka belek, słupów więcéj, lub okno nieco szersze, lub okap nieco większy, zupełnie kształt domu zmienią. W okolicy naszéj najwięcéj wzorów pod tym względem znajdziem w Turwi pod Kościanem i w przyległych posiadłościach. Czas jest, abyśmy wreszcie zaniechali téj nagiéj, jałowéj, i poniekąd cczéj architektury, któréj wzorów, Bóg wie, zkąd sięgamy. Dwory i wiejskie chaty, wszystkie na kształt stodół stawiane: a często gościniec, przez wieś idący, nie różni się od gumnego podwórza. Ujmijmy się więc za tém, co jedynie okolice nasze malowniczemi czyni: nie mamy gór i skał, szanujmy więc lasy, wody, łąki i budowle, które jedynie zdołają dodać rozmaitości niezmierzonym naszym polom.

Do Redakcyi Przyjaciela Ludu.

(Wyciąg z ksiąg metrycznych kościoła parafialnego ś. Trójcy w Gnieźnie.) a)

I.

Po wydarzonym ogniu w r. pańskim 1613 dnia 27. Kwietnia, b) który w przeciągu dwóch godzin, jak to widzieć można w podartéj księdze metrycznéj chrztów, całe miasto Gniezno z wszystkiemi przedmieściami zburzył i z ośmiu kościołami, jakoto: katedralnym, ś. Stanisława, c) ś. Grzegorza, Błog. Anny, OO. Franciszkanów z ich klasztorem i zakonnic ś. Klary, oraz kościołem ś. Trójcy z wszystkiemi przyozdobieniami, ś. Ducha, ś. Piotra; powtórny ogień w roku 1760, nazajutrz po ś. Bartłomieju, tojest 25. miesiąca Sierpnia, pod panowaniem Augusta III., za arcybiskupa, najprzewielebniejszego Władysława Łubieńskiego, prymasa państwa, obrócił w perzynę sławny kościół katedralny z dwiema okazałemi wieżami, zegarem i czterema wielkiemi dzwonami, wyjąwszy tylko mury, które wszakże wiele ucierpiały; pozostały także i ołtarze w całym kościele nienaruszone, lecz podniebienie kościoła w części już zapadając, grozi im zniszczeniem. Pożar ten wszczął się o godzinie 8. po południu w domu rzeźnika, przez niedbalstwo gospodyni domu, (niewiedzieć czyje) w ulicy, którą się idzie z miasta do katedry, na któréj to ulicy dziesięć domów pochłonął ogień. Tam to kaplicę Błog. Anny z przyległemi budynkami, daléj jatki nad murem cmentarza tegoż kościoła i dom kapelli muzycznéj, nareszcie kurye siedmiu prałatów i kanoników katedralnych z obszernemi budynkami, stajniami i t. d., tudzież i kilka domów szkolnych, obok kościoła ś. Piotra tenże ogień pochłonął. Jakaż to boleść, widzieć zwłaszcza taki pożar; w ten czas to patrząc na zniszczony ogniem piękny kościół katedralny, ze łzami opłakiwaliśmy takowe zniszczenie, a mianowicie najwspanialszego kościoła.

Tegoż samego roku, 1760, dnia 8. Października, powstał wicher gwałtowny, który w tutejszém mieście Gnieźnie nie małe w budynkach zrządził spustoszenie, lecz daleko więcéj w miasteczkach i wioskach naokoło leżących, albowiem stajnie po gospodach wywrócone, konie zabijały; owczarnie obalone, wiele set owiec nadusiły; obory podobnym sposobem wiele bydła zniszczyły. Okrom tego wiatru gwałtownego, już od dwudziestu około lat porywa zaraza woły i inne bydlęta, a nadto jeszcze wszystkim nam wielce nieznośne przechody wojsk moskiewskich, od kilka lat do Śląska i Brandenburgii ciągnących, nie małym obarcza nas smutkiem. Czego ja niegodny kościoła ś. Trójcy proboszcz i dziekan świadkiem byłem.

And. Rakowski, m. p.

II.

Roku pańskiego 1708 dnia 27 Sierpnia poczęło grassować morowe powietrze po całéj Polsce, na które tu w Gnieźnie umarło pięć tysięcy ludzi, od roku powyżéj rzeczonego, aż do roku 1710, których nazwiska w téj księdze nie są zapisane, nie z niedbałości w czasie trzykrotnego moru, lecz dla braku księży, albowiem wielu w tém powietrzu pomarło.

Niech spoczywają w pokoju!

Albert Stanisław Rosiński.

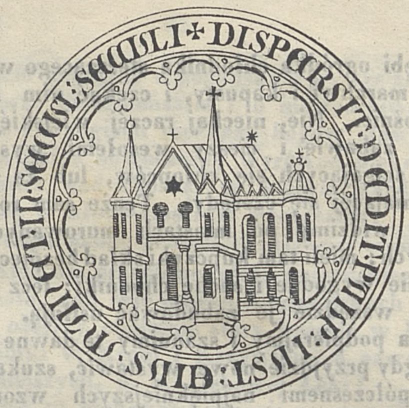
---

a) Powyższe wyciągi zawdzięczając uprzejmości czcigodnych duchownych przy kościele farnym (ś. Trójcy) w Gnieźnie, udzielam je publiczności w nadziei, że te wspomnienia wydarzeń, na ziemi rodzinnéj przytrafionych, ręką przodków skreślone, życzliwie przez ziomków przyjętemi będą. Udzielam je w tłumaczeniu, gdyż jak całe księgi metryczne, tak i te wyczerpnięte z nich wyimki, w łacinskim języku pierwotwornie są spisane. Być może, że podobne źródła i w innych także okolicach ze starannością poszukiwane, dostarczyłyby materyałów do dziejów ojczystych. *S. B.*

b) Obacz N. 27. rok IV. P. L. Wzmiankowany opis, pierwotwornie w języku polskim jest ułożony.

c) Kościoły świętego Stanisława i Błog. Anny teraz nie istnieją.





Medal na cześć Ś. Elżbiety. *a*)

Ś. Elżbieta.

(Historyczne.)

Życie ś. Elżbiety, xiężniczki heskiéj, małżonki Ludwika IV., landgraffa Turyngii, córki Andrzeja II., króla węgierskiego, jest oraz żywym obrazem średniego wieku: dwór świetny w Wartburgu, wygórowana hierarchii przewaga, objawiająca się w jéj spowiedniku, Konradzie z Marburga; wojenne wyprawy, duch rycerski, fundacye klasztorów i szpitalów, a przytém dziwnie zachwycająca postać xiężniczki i żebraczki razem, dodaje temu obrazowi uroku romantyczności. Za naszych dni zaledwo wystawić sobie możemy udręczenia, któremi piękna xiężniczka dobrowolnie ciało swoje martwiła, rozdanie wszystkich swoich skarbów pomiędzy ubogich, biczowanie, które z ręki spowiednika swego cierpliwie przyjmowała, wyzucie się zupełne z okazałości i przepychu, oddalenie sług, a nawet najprzywiązańszych przyjaciółek swoich, aby tym sposobem uniknąć wszelkich wspomnień dawnego dworskiego przepychu: wszystko to są fakta historyczne, charakteryzujące wieki średnie, a bardziéj jeszcze i piękną duszę xiężniczki. Lecz pomnąc, że to było w XIII. wieku, gdy wojny krzyżowe ciągle jeszcze podsycały zapał religijny, gdy jedyna zasługa i sława, jakiéj wtedy dostąpić było można, w rycerskich i mnichowskich zakonach ukrywała się: zważywszy te okoliczności czasowe, a przytém wystawiwszy sobie umysł xiężniczki, jéj czułość, tkliwość, żywość imaginacyi, pod wpływem Konrada z Marburga, łatwo nam będzie pojąć jéj życie.

Ś. Elżbieta była córką Jędrzeja, króla węgierskiego, i Gertrudy, xiężniczki Tyrolu: urodziła się w Presburgu r. 1207. W czwartym roku życia, zaręczona jedenastoletniemu Ludwikowi, synowi Hermana, landgrafa Turyngii i Hessyi, i do Wartburga przewieziona, gdzie z swym narzeczonym staranne odbierała wychowanie.

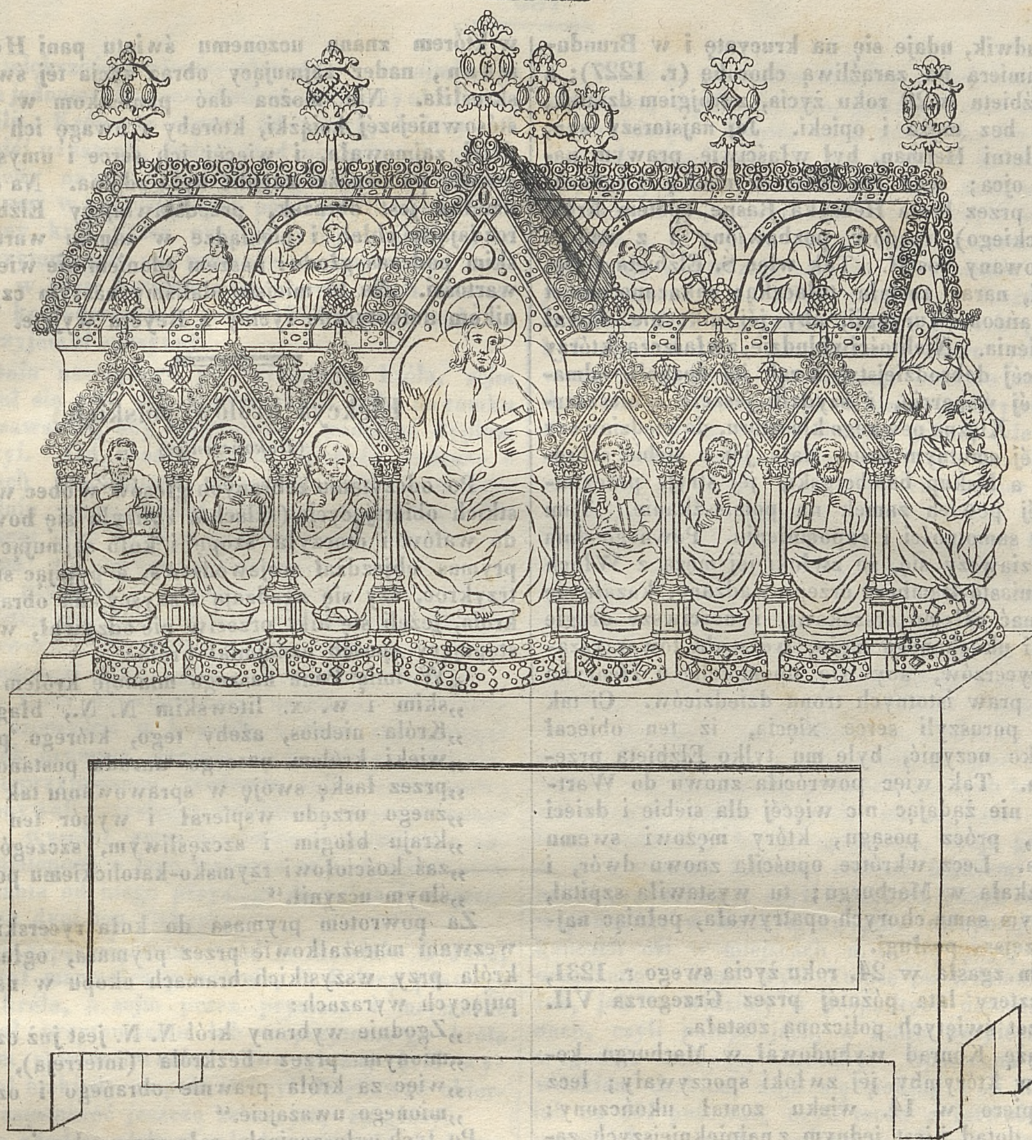
Dwie okoliczności musiały wywrzeć znaczny wpływ na usposobienie umysłowe xiężniczki: to jest, przykład jéj ciotki, ś. Jadwigi, małżonki Henryka pobożnego, xięcia wrocławskiego, która późniéj fundowała klasztór trzebnicki, a po śmierci w poczet świętych została policzoną; i okropne zdarzenie, zdolne przerazić każdego, a cóż dopiero siedmioletnią dziecinę. Trzeciego roku po jéj do Turyngii oddaleniu, wybuchnął w Węgrzech spisek na życie króla Jędrzeja: spiskowi weszli w nocy do królewskiéj komnaty: królowa, chcąc swemu mężowi dać czas do ucieczki, porwała broń, i czas niejaki dawała odpór napastnikom, od których zabita.

Ś. Elżbieta właśnie lat 9 skończyła, kiedy r. 1216 umarł xiążę Herman, a syn jego najstarszy, Ludwik, wstąpił na xięstwo po ojcu. Odtąd wszystko zmieniło się na dworze: młody xiążę Ludwik ulegając wpływowi swéj matki i siostry, i sam światowością zajęty, nie rad patrzał na pobożne ćwiczenia swéj oblubienicy: ale ona znosiła cierpliwie przycinki xiężnéj matki, a nawet żarty zuchwałych dworzan. Ludwik został wiernym swéj narzeczonéj, pomimo poduszczeń złośliwéj matki, chcącéj koniecznie do Węgier odesłać Elżbietę; r. 1220, kiedy ta trzynasty rok skończyła, pojął ją za małżonkę. Jéj postać tak opisują współcześni: „Łączyła święta Elżbieta w sobie wszystko, co uszczęśliwiać i podobać się może. Strojna przed Bogiem pobożnością i pokorą, jaśniała przed ludźmi zwierzchniemi powaby. Uroda jéj była niepospolita: płeć miała gładką, lubo śniadawą, włosy długie, czarne, skład ciała udatny i okazały, postawę szlachetną. Uśmiech jéj był dziwnie ujmujący: ciemne oczy zdawały się jakby ogniskami uczucia: słowem, cudność jéj ziemska, objawiała duszy nieśmiertelną piękność.

Jéj małżonek, xiążę Ludwik, bardzo był do niéj przywiązany, i wszędzie brał ją z sobą.

---

a) Wyjęty z wzmiankowanego już dzieła Reyera, z napisem:
Elisabetha filia Andreae Regis Ungarorum obiit Marb. Anno Christi MCCXXXI.
a na drugiéj stronie:
Dispersit, dedit pauperibus justitia ejus manet in saeculum saeculi.



Pomnik Ś. Elżbiety w Marburgu, *b*)
przedstawia Zbawiciela wraz z sześciu Apostołami; u góry Ś. Elżbietę, wykonywającą uczynki miłosierne.

Młoda xiężniczka przejęta ewanjelicznym duchem, zdawała się zupełnie zapominać o sobie i o świecie, żyjąc tylko dla Boga: ztąd za nic ważyła dobra ziemskie, za nic skarby i bogate szaty; owszem, kiedy tylko mogła, pozbywała się tych próżnych ciężarów, zawadzających na drodze do prawdziwéj pobożności. Wszystko więc oddawała ubogim. Być może, że w téj mierze za nadto daleko posunęła swą gorliwość; ale to zaszczyt czyni jéj sercu. I tak powiadają, że gdy raz z Wartburga wyszła pieszo do miasta Eisenach, rozdawać jałmużnę pomiędzy ubogich; Ludwik rozgniewany zaszedł jéj drogę przed bramą i zapytał: „coby w tym koszu niosła?" Przelękniona xiężniczka, obawiając się gniewu swego małżonka, rzekła: „to róże, które chcę rozdać pomiędzy dzieci;" a gdy podejrzliwy Ludwik kosz otworzył, zaledwie oczom swym uwierzył, widząc istotnie pięknie rozkwitłe róże, zamiast chleba, dla ubogich. Lecz gdy z temi różami do miasta przyszła, znowu się w chleb przemieniły.

Ś. Elżbieta martwiła swe ciało jak najbardziéj: sypiała tylko na twardém łożu, spoczywała krótko, i prawie całe noce przepędzała na modlitwie: na gołém ciele nosiła zawsze włosienicę, a co piątek biczować się kazała.

Życie Ś. Elżbiety było niejako pasmem samych umartwień i najsroższych ciosów. Małżonek

b) Wyjęty z tegoż dzieła.

jéj, Ludwik, udaje się na krucyatę i w Brundusium umiera na zaraźliwą chorobę (r. 1227); a tak Elżbieta w 20 roku życia, z trojgiem dziatek, została bez męża i opieki. Jéj najstarszy syn, sześcioletni Herman, był właściwie prawym następcą ojca; lecz ten wraz z matką i rodzeństwem przez brata Henryka Raspe (potem króla niemieckiego) rządów pozbawiony i z zamku wyrugowany został. Tak więc Ś. Elżbieta z xiężniczki, naraz została tułaczką: zakazano nawet mieszkańcom Turyngii, aby jéj nikt nie dawał schronienia. Nielitościwi ludzie, zwłaszcza, którzy najwięcéj dobrodziejstw z rąk jéj doznali, odmawiali jéj wsparcia, i szydzili jeszcze z nieszczęśliwéj. Xiężna pewnego klasztoru, dowiedziawszy się o jéj smutnym losie, dała jéj u siebie schronienie, a biskup bambergski, jéj stryj, przeznaczył jéj pewien zamek na pomieszkanie. Tam żyła w samotności i zapomnieniu. Pewnego dnia dowiedziawszy się, że zwłoki jéj męża z Włoch przez miasto Bamberg przeprowadzano, kazała się zatrzymać całemu orszakowi, i uczciwszy drogie szczątki ukochanego męża, wezwała towarzyszących rycerzów, aby się upomnieli u Henryka Raspe, praw istotnych tronu dziedziców. Ci tak dalece poruszyli serce xięcia, iż ten obiecał wszystko uczynić, byle mu tylko Elżbieta przebaczyła. Tak więc powróciła znowu do Wartburga, nie żądając nic więcéj dla siebie i dzieci swoich, prócz posągu, który mężowi swemu wniosła. Lecz wkrótce opuściła znowu dwór, i zamieszkała w Marburgu; tu wystawiła szpital, w którym sama chorych opatrywała, pełniąc najprzykrzejsze posługi.

Tam zgasła w 24. roku życia swego r. 1231, a w cztery lata późniéj przez Grzegorza VII. w poczet świętych policzoną została.

Xiążę Konrad wybudował w Marburgu kościół, w którymby jéj zwłoki spoczywały; lecz ten dopiero w 14. wieku został ukończony: stoi on dotąd i jest jednym z najpiękniejszych zabytków gotyckiéj architektury w Niemczech.

Święte zwłoki, zawarte w bogatéj trumnie i pięknym pokryte pomnikiem, który nasz obrazek przedstawia, spoczywały aż do reformy religijnéj w Niemczech. Wtedy to potomek xiężnéj, Filip, landgraf heski, poważył się wyjąć je z trumny i w prosty dół wrzucić, a bogactwa zabrał; późniéj jednak za upomnianiem Karóla V. odkopane zostały i podzielił się szanownemi relikwiami świat katolicki.

Z tém krótkiém wspomnieniem o Ś. Elżbiecie, łączymy oraz pożądaną zapewne czytelnikom, a szczególniéj czytelniczkom naszym, wiadomość, o nowo wydaném dziełku w Wrocławiu u Schlettera: **)

«Życie świętéj Elżbiety, przez autorkę Pamiątki po «dobréj matce. 1838.»

**) Przedaje się w Lesznie w księgarni Günthera i kosztuje złot. pol. 5.

w którem znana uczonemu światu pani Hoffmann, nader zajmujący obraz życia téj świętéj skreśliła. Nie można dać panienkom w rękę stósowniejszéj książki, któraby i uwagę ich bardziéj zajmowała, i więcéj ich serce i umysł do prawéj pobożności zapalić była zdolna. Na czele dziełka jest obrazek, przedstawiający Elżbietę, rozdającą chleb i pieniądze w zamku wartburskim podczas głodu: naszém zdaniem nie wielkiéj wartości. Na to miejsce daliśmy naszym czytelnikom autentyczne ryciny z Reyera wyjęte.

Elekcya królów polskich.

(Dokończenie.)

Po odczytaniu zebranych głosów wobec wszystkich obierających (szlachta zbliżyła się bowiem do wałów i otoczyła szopę i koło sejmujących) prymas objeżdżał województwa, a pytając się po trzykroć, czy się zgadzają wszyscy na obranego króla, jeżeli się nikt przeciw nie odzywał, w następujący sposób oznajmiał króla:

„W imię Pana naszego mianuję królem pol-
„skim i w. x. litewskim N. N., błagając
„Króla niebios, ażeby tego, którego przed
„wieki królem naszego narodu postanowił,
„przez łaskę swoję w sprawowaniu tak wa-
„żnego urzędu wspierał i wybór ten dla
„kraju błogim i szczęśliwym, szczególniéj
„zaś kościołowi rzymsko-katolickiemu pomy-
„ślnym uczynił."

Za powrotem prymasa do koła rycerskiego, wezwani marszałkowie przez prymasa, ogłaszali króla przy wszystkich bramach okopu w następujących wyrazach:

„Zgodnie wybrany król N. N. jest już oznaj-
„mionym przez bezkróla (interreja), tego
„więc za króla prawnie obranego i oznaj-
„mionego uważajcie."

Po tych ogłoszeniach, całe zgromadzenie przyklęknąwszy, odśpiewywało hymn: Te Deum laudamus. Radosne okrzyki całego zgromadzenia, powiększane hukiem dział, dźwiękiem trąb i łoskotem kotłów, były oznakami powszechnéj radości i szczęśliwie odbytéj elekcyi, która w dniu tym samym, po powtórnie odśpiewanym hymnie Te Deum laudamus w kościele ś. Jana w mieście, dla wyborców nie sejmujących kończyła się. Jeżeli nowo obrany król był przytomnym, jak to na elekcyach Władysława IV., Michała i Jana, prowadzono go z jego pomieszkania, jakoby w tryumfie do kościoła, marszałkowie szli przed nim, lecz z puszczonemi laskami; w razie przeciwnym, posłowie obranego króla, zastępowali jego osobę przy téj uroczystości.

Trafiło się czasem, że przez rozdwojenie umysłów nie zgodna była elekcya, jak to króla Stefana, Zygmunta III. i obudwóch Augustów. Przypadek taki nie ściągnął nigdy dla kraju złych skutków, po niejakim czasie bowiem wszy-

scy większością głosów obranego i oznajmionego króla jednomyślnie uznawali, chociaż przy obiorze się różnili. Królowie obrani od takich, którzy ich później uznawali, żadnéj ztąd nie miewali urazy, niekiedy nawet z najzaciętszymi swymi przeciwnikami w najściślejszych później żyli stósunkach. Obrany król przez przytomnych na elekcyi, od nieprzytomnych za prawego uznanym być musiał; w razie bowiem przeciwnym, tych wszystkich konfederacya z roku 1573 poczytywała za nieprzyjaciół ojczyzny.

Dnia następnego po ogłoszeniu króla, sejm zbierał się albo w kole rycerskiem, albo na zamku warszawskim, aby wygotować i podpisać dyplom elekcyi. Od czasów króla Michała radzono o paktach konwentach, które dawniéj w trzecim tygodniu sejmu, przed elekcyą, układano. Do redakcyi tych ugód wyznaczona była deputacya, złożona z sześciu senatorów, zamianowanych przez prymasa i dwunastu posłów, po czterech z każdéj prowincyi, wybranych przez marszałka sejmowego. Ministrowie kraju należeli z urzędu do redakcyi tych ugód. Pakta wygotowane i przez stany zatwierdzone, osobiście, przytomny król, uroczyście w kościele ś. Jana zaprzysięgał i z rąk prymasa dyplom swéj elekcyi odbierał. Za nieprzytomnego posłowie tylko tymczasową wykonywali przysięgę; zwykle do nieprzytomnego króla wysełał sejm poselstwo z uroczystém zawiadomieniem o jego wyborze na tron, z zleceniem odebrania od niego przysięgi na pakta i wręczenia mu dyplomu elekcyi.

Po zaprzysiężeniu ugód w kościele ś. Jana, ogłaszał marszałek powtórnie, iż Polacy prawego mają króla, a sejm przez prymasa i marszałka składał przytomnemu lub nieprzytomnego króla posłom powinszowanie. Nowoobrany król wyjeżdżał niekiedy na pole elekcyi dziękować obiorcom, częstokroć jeszcze zebranym, za głosy.

Po zgodzie elekcyi szlachta wracała do domu, a senat i posłowie ziemscy kończyli obrady, wyznaczając dzień pogrzebu zmarłego króla, dzień koronacyi nowego i czas sejmików przedsejmowych sejmu koronacyjnego. Jeżeli przy obraniu króla jaka zaszła niezgoda, nowy zjazd powszechny nakazywano. Zjazdy te znane są pod nazwiskiem, poparcia obierania króla i były w Jędrzejowie przy elekcyi króla Stefana i w Wiślicy przy elekcyi Zygmunta III.

Sejm elekcyjny, podług prawa, nad sześć tygodni trwać nie powinien; kończył się uroczystością w kościele ś. Jana, po któréj na polu elekcyi okopy rozrzucono, bramy i szopę rozebrano.

M.

Drabiny ogniowe Williama Baddeley.

(Z Dziennika podróży Senatora Soczyńskiego.)

Wydoskonalone drabiny te pożarowe, w Anglii powszechnie już używane, następującym się sposobem robią i stosują:

Wzór 1. wystawia drabinę pojedynczą, któréj miara, czyli podziałka, jest: pół cala na stopę jednę biorąc. Część, czyli górny koniec téjże, jest tak urządzony, że się w dolny koniec drugiéj innéj drabiny wsuwać, a tym samym z nią zastósować daje, przyczém więzy, czyli okówki żelazne a. a. i b. b. oba te końce zwarte razem utrzymują i obtaczają tak, że, po złożeniu swym, jednę nierozdzielną całość stanowią. Każda taka składana drabina, podług woli i potrzeby, może być nieskończenie przedłużana, skoro tylko nowemi pojedynczemi drabinkami nadstawianą będzie; co z łatwością, jak widzimy, odbywa się; dosyć albowiem koniec drabiny jednéj tyle ulżyć, ażeby koniec drugiéj założyć się dał, zastósował, czyli co na jedno wychodzi, aby koniec górny z okówkami pierwszéj w okówki końca dolnego drugiéj drabinki wsunął się, a już gotową będzie. Ze zaś w składaniu większéj, jak n. p. trzech drabinek ilości, a do tego w podnoszeniu ich po ścianach budowli, pożarowi uległych, na liczne natrafia się przeszkody, jakiemi n. p. są murki, gzemsy i t. p. wyskoki, które mniéj więcéj nieprzełamane w wodzeniu i posuwaniu drabin, stawiają zawady; tym końcem p. Baddeley dodał nowy doń wózek, któren wzór 2. przedstawia. Wózek ten składa się z dwóch mocnych krótkich pobocznych ramion (leterek) m. m., które okówkami podobnież b. b. opatrzone, mają górą oś e. e. z dwoma kołkami małemi lekkiemi d. d., nadto pręt żelazny, czyli łuczek c., któren ramiona wspomnione w mocnym związku utrzymuje. Po końcach osi w miejscach n. n. są sprężyny tak urządzone i same wyskakujące po wdzianiu kółek, jak to widzimy w pospolitych deszczochronach, czyli parapliujach, a które bezpiecznie i wygodnie zastępują kurczaby. Opatrzona takim wózkiem drabina, daje się podług woli w górę lub na dół posuwać, czyli może z łatwością po wszelkich murach, gzemsach domów jeździć, a tym samym wszelkie zawady i usterki pokonywa, których dawne drabiny pożarowe z trudnością, opóźnieniem, albo całkiém uchylić niemogąc, nieraz wielkich szkód nabawiały.

Wiersz dziada

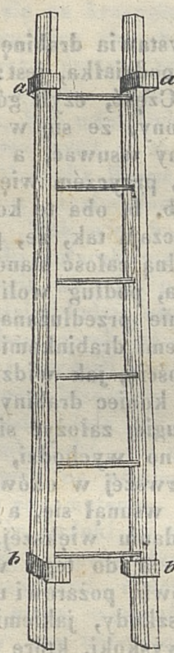
na urodzenie się wnuczki w chwili przyjazdu starego przyjaciela.

Jakąż miarę dać weselu,
Gdy witam w jednéj godzinie
Gościa niebios w mdłéj dziecinie,
Gościa ziemi w przyjacielu.

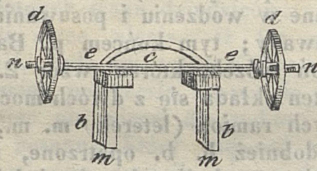
W dniu tak sercu memu błogim,
Sącz kapłanie święte zdroje;
Niech się z przyjacielem drogim
Jednym więcéj węzłem spoję.

Kto na czém szczęście zakłada,
Niech mu tego los udziela;
Dla mnie szczęściem urząd dziada
I szacunek przyjaciela.

Wzór 1.



Wz. 2.



Drabiny ogniowe Williama Baddeley.

Serca nasze cnotę cenią,
Krzepmy starość młodą wiosną;
A gdy wnuczki nam dorosną,
Niech się za nas nie rumienią.

Jest przyjaźni przeznaczeniem,
Być dla nas *drugiém sumieniem*:
Kiedy jedno nam pobłaża,
Zaraz się drugie obraża.

Przyjacielu! jeśli kiedy
We czci cnoty się odmienię,
Błagam — podnieś głos twój wtedy,
Jak *drugie moje sumienie*. *K. K.*

Sen.

(*Gadka z okolic Rawicza.*)

Nie zdarte okiem śmiertelnika duszy,
Ciemne niebios są zrządzenia;
Szczęśliwy, kogo grom losów nie skruszy,
Śmiało czeka przeznaczenia;
Kto wierny prawom świętéj swojéj wiary,
Jad zgryzot chętnie pije z nieszczęść czary.

W niepomnych czasach dalekiéj przeszłości,
W mieście świetném czyny swemi,
Słynna dostatki i w kwiecie młodości,
Żyła wdowa w polskiéj ziemi.

Błogosławiły nieba jéj prostocie,
Jedynaka syna miała,
A przecież w skromnéj, świętéj ojców cnocie,
Tkliwa go matka chowała.

Już lat dziesięciu dorastał chłopczyna,
Całego miasta ozdoba,
Gdy się wtém łzami zlała twarz matczyna,
Dom czarna skryła żałoba.

Snu okropnego dręczyły ją mary:
»Nim pięćdziesiąty dzień minie,
»Pan twéj niewiasto chce doświadczyć wiary,
»Twe dziecię od gromu zginie!«

Zrywa się w trwodze matka nieszczęśliwa,
Przed boskie śpieszy ołtarze:
Łaski, litości z górnych niebios wzywa,
Wszystko im niosąc w ofiarze.

Potém granitne każe zwalać głazy:
Już rąk w nich kuje tysiące,
I słychać zewsząd silne młotów razy,
Dłut, toporów, chrzęsty grzmiące.

Po dniach czterdziestu, gmach potężny stawa,
Cały z granitu ukuty;
Wszakże nie znikła matczyna obawa,
Jéj umysł żalem zatruty.

Bo już nadchodzi dzień okropnéj trwogi;
Bierze nieszczęsna swe dziecię,
Jęcząc, w kamienne z nim pośpiesza progi,
W skaliste chroni ukrycie.

Lecz ledwo znikła, chłopczyna tajemną
Wybiega z gmachu drożyną,
W dali za sobą rzucił otchłań ciemną,
Nad cichą stawa doliną.

I tu pod niebem na twarz pada gołem,
I dłoń wznosi doń modlącą,
Niebo fal czarném zamgliło się kołem
Nawałą szumi gorącą.

I coraz więcéj zaciemnia się w koło,
Błyskawic syczy żądłami,
Aż poczerniałe, sine gromem czoło,
Ulewy buchło falami.

Leży plon zboża gradem deszczu zbity,
Gniéwna dęby trzaska fala,
Gdy piorun w gmachu uderza granity
I cały w gruzy rozwala.

Z rozpaczą matka wypada struchlała,
Skruszona niebios potęgą,
Gdy w polu w dali widzi osłupiała
Synka z świętą w dłoni księgą.

Bieży szczęśliwa, lube dziécię ściska,
Pada, dłoń do Boga wznosi,
I z łzą pokory, co z jéj oka tryska,
Przebaczenia winy prosi!

Nie zdarte okiem śmiertelnika duszy,
Ciemne niebios są zrządzenia,
Szczęśliwy, kogo grom losów nie skurszy,
Śmiało czeka przebaczenia.
Kto wierny prawom świętéj swojéj wiary,
Jad zgryzot chętnie pije z nieszczęść czary. *)

A. B.

*) *Tę samą gadkę czytaliśmy niedawno w P. L., ale nieco odmiennie opowiedzianą. Ja się wiernie trzymałem powieści, jaką przed kilku laty słyszałem w rodzinnéj méj wiosce.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Redaktor Ciechański.*)